

J A C E K
KRAKOWSKI



**ZGUBNE
DZIEDZICTWO**

 **SAGA**
EGMONT

J A C E K
K R A K O W S K I

Z G U B N E
D Z I E D Z I C T W O

 SAGA
EGMONT

Jacek Krakowski

Zgubne dziedzictwo

Saga

Zgubne dziedzictwo

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 2012, 2021 Jacek Krakowski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726823295

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

I. Sobota, 29 października

1

- Ledwo zdążyłam na pogrzeb ciotki Zenobii Kruszyńskiej. Mój stary samochodek kompletnie wysiadł, więc wlokłam się po nocy pociągiem podobno ekspresowym z Olsztyna do Poznania. Potem z Poznania po przesiadce w Gorzowie Wielkopolskim dojechałam wreszcie do Kostrzyna nad Odrą akurat w porę, by wziąć taksówkę i dojechać do cmentarza na Osiedlu Drzewice. Mój zegarek wskazywał 13.30, kiedy właśnie przy akompaniamencie dzwonu wyprowadzano z kaplicy urnę z prochami cioci Zenobii.

- To nie była nasza najbliższa rodzina - dodała po chwili Laura. - Żona brata ciotki Zenobii była siostrą mojego dziadka ze strony matki. Wiem, drogi wujku, że to wszystko bardzo skomplikowane, ale powoli postaram się całą rzecz w miarę przystępnie wyjaśnić. Nie pojechałabym do Kostrzyna, gdyby nie mama, która uważała, że powinnam wreszcie poznać bliżej tę gałąź naszej, bądź co bądź, rodziny.

Moja młoda kuzynka, Laura Sawicka, absolwentka Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie, siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami, pijąc świeżo zaparzoną kawę. Po tych wszystkich wypadkach, jakie miały miejsce w Kostrzynie na przełomie października i listopada, wpadła do mnie do Łodzi, aby przed powrotem do swego ukochanego Olsztyna zdać mi sprawozdanie z owych wstrząsających wydarzeń.

Dotychczas przyjmowałam jej wcześniejsze relacje z pewną dozą nieufności, starając się to i owo w nich korygować, tak aby wyszły z nich historie zadowalające

wydawcę moich kryminałów. Tym razem jednak opowieść snuta przez Laurę była na tyle intrygująca i skomplikowana, że kilkakrotnie musiałem przesłuchiwać nagranie na dyktafonie, aby wreszcie uchwycić sedno sprawy.

Laura patrzyła w listopadowe okno zasnuwane wieczorną mgłą i pocierając palcem brzeg filizanki, powoli wracała myślami do owego pogrzebu.

- Właściwie niewiele znałam tych wszystkich ludzi. Jedynie wujek Franciszek Malewicz, brat ciotki Zenobii, której w życiu na oczy nie widziałam, odwiedził nas raz czy drugi po roku 1990. Długo rozmawiał z matką, co niewiele mnie wtedy obchodziło, nocował u nas, po czym wyjeżdżał rannym pociągami do Gdyni. Było to dobre dwadzieścia lat po śmierci jego żony, Róży, siostry mojego dziadka, która zginęła zastrzelona podczas pamiętnych wypadków w Gdyni w grudniu 1970 roku.

- Pogrzeb włókł się w nieskończoność - kontynuowała swoją opowieść. - Zimny, październikowy wiatr niósł mokre liście, które oklejały twarze żałobnikom. Obok mnie stanął szpakowaty facet koło sześćdziesiątki. Zauważyłam, że kilka razy zerknął w moją stronę, po czym rzekł:

- Przepraszam, ojciec pokazywała mi kilkakrotnie pani zdjęcia. Pani Laura Sawicka, prawda? Jestem Adam Malewicz, syn Franciszka Malewicza. Moja matka, Róża, zginęła w Gdyni...

- Ach, to pan - powiedziałam, przypominając sobie jego twarz. - Bardzo mi miło. Wujek Franciszek przywiózł nam do Olsztyna fotografie pana i pańskiego syna, Rafała. Ale to było już jakiś czas temu... Przepraszam, że pana nie poznałam.

- Nic nie szkodzi - odparł cicho. - Rafał to ten wysoki, w czarnym płaszczu. Poszedł przywitać się z matką.

Wiedziałam od mojej matki, że Adam rozwiódł się ze swoją żoną, kiedy Rafał miał kilka lat i syn został z ojcem, ale nie chciałam w całą sprawę głębiej wnikać. Zresztą, co mnie to wszystko obchodziło. Miałam nadzieję, że zjem rodzinny obiad i złapię (co wyczytałam w Internecie) wieczorny autobus, który z Berlina, oddalonego o jedyne 80 kilometrów, pędzi przez Kostrzyn do Poznania. A stamtąd pojadę do Łodzi, aby wpaść do ciebie, drogi wujku, a potem „puszczę się” pociągiem bądź autobusem do Olsztyna.

Niestety, natychmiast wypatrzył mnie wujek Franciszek, wiekowy gość z wąsami i miną morsa.

- Lauro, moja droga, mowy nie ma, żebyś dzisiaj wyjechała - powiedział na wstępie. - Tyle lat się nie widzieliśmy. Przystojna z ciebie dziewczyna. Musisz mi wszystko opowiedzieć, co się u was dzieje. W willi naszej Aurelii jest tyle wolnego miejsca, że śmiało możesz przenocować. Poza tym wieczorem zostanie odczytany testament Zenobii. Kto wie, może odziedziczyłaś miliony? - zaśmiał się kostycznie.

Wiedziałam tylko tyle, że Aurelia Kruszyńska była siostrą Ksawerego Kruszyńskiego, tego, z którym ciotka Zenobia z domu Malewicz wyjechała w 1939 roku do Brazylii. Nie myślałam, że Aurelia jeszcze żyje, ale Franciszek popchnął mnie lekko w stronę siedzącej na wózku inwalidzkim mocno starszej pani, zatulonej w czarne karakuły i czarny koronkowy szal.

- Nasza kuzynka z Olsztyna, Laura Sawicka - przedstawił mnie tej nieco drzemiącej damie.

- Nie przypominam sobie - rzekła cichym głosem, wyciągając do mnie drobną, wychudłą dłoń.

Pocałowałam ją w rękę i powiedziałam:

- Ciocia Róża, żona wujka Franciszka, była siostrą mojego dziadka Józefa.

- Ach, tak... - rzekła po dłuższym namyśle ta co najmniej dziewięćdziesięcioletnia pani, podczas gdy ksiądz odprawiał nadmiernie rozwleczone i zapewne dobrze opłacone ceremonie żałobne. - Oczywiście możesz u nas przenocować. Miejsca jest pod dostatkiem. Walerian wieczorem odczyta testament.

Deszcz padał coraz gęstszy. Wujek Franciszek pociągnął mnie w stronę rozłożystego kasztanowca i rozpiął nad nami ogromny, czarny parasol.

- Kto to jest Walerian? - spytałam.

- Walerian Hubertus, notariusz skoligacony z rodziną, u którego ciotka Zenobia złożyła nowy testament po powrocie do Polski w 1996 roku.

- Nie wie wujek, dlaczego wróciła z tej Brazylii? - pytałam zaciekawiona.

- Jej mąż, Ksawery Kruszyński zmarł w 1995. Ciotka z jego prochami przyjechała do Polski i osiedliła się w willi Aurelii, czyli siostry jej zmarłego męża.

- Wróciła na starość do Polski, do domu siostry męża? - drążyłam temat. - Przepraszam, że spytam, nie miała z czego żyć po jego śmierci?

- Przeciwnie - odparł z uśmiechem wujek Franciszek, zapewne dziwiąc się mojej niewiedzy. - Ciotka Zenobia była milionerką. Mieli pod Kurytybą w brazylijskim stanie Parana olbrzymie plantacje kawy i bawełny, na których dorobili się po zakończeniu wojny. Eksport do zrujnowanej Europy był wtedy bardzo opłacalny. Potem zainwestowali w nieruchomości i... zbili na tym jeszcze większy majątek.

- Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego ciocia Zenobia Kruszyńska wróciła do Polski?

- Widzisz, nie miała tam właściwie żadnej rodziny oprócz kilku przyjaciół... do brydża. To było bezdzietne małżeństwo. Po śmierci wujka Ksawerego w 1995 roku ciotka liczyła sobie - zamyslił się na moment - 75 lat. Miała

jakieś zadawnione schorzenie kręgosłupa i wymagała opieki.

- Starość nie radość - westchnęłam.

- A poza tym - dodał wujek Franciszek - jej mąż życzył sobie, aby być pochowanym w Polsce. Ciotka spieniężyła większość majątku, przelała aktywa do Crédit Suisse w Zurychu, drugim co do wielkości banku szwajcarskim i... przyjechała do Kostrzyna.

- Przepraszam państwa - powiedziała, podchodząc do nas kobieta pewnie niewiele ode mnie starsza, ale nieumalowana, w jakimś okropnym, czarnym kapelusidle na przetłuszczonych blond włosach i w paskudnej zgniłozielonej pelerynie, słowem obraz nędzy i rozpaczy.

- Po pogrzebie babcia bardzo prosi wszystkich na obiad - mówiła cichym, jakby udręczonym głosem.

Potem podchodziła do innych osób, zapewne powtarzając to samo.

- Kuzynka Bietka? - spytałam, przywołując tytuł powieści Balzaka.

Wujek Franciszek spojrzał na mnie z uznaniem.

- Coś w tym guście - odparł po chwili. - To Małgorzata Grabowska, wnuczka Aurelii, córka Sylwii...

Jego dalsze wyjaśnienia zagłuszył chór intonujący „W mogile ciemnej...”. Podeszłam bliżej do rodzinnego grobowca. Chór zamilkł na znak księdza, a ten niezwykle drobiazgowo zaczął się rozwodzić nad zasługami nieboszczki, szczególnie podkreślając jej wkład (zapewne finansowy) w rozwój życia parafialnego.

Kiedy doszło do opowieści o zorganizowanej przez ciotkę Zenobię pielgrzymce do Rzymu, stojąca obok mnie starsza kobieta, z głową wtuloną w kołnierz z czarnego lisa, rzuciła z niesmakiem: „Suka”. Mocniej naciągnęła nocnikowaty kapelusz na miedzianorude włosy i powoli odsunęła się od

grobu. Chór znowu zaintonował: „W mogile ciemnej śpi na wieki...”

Oparłam wiązanek złocistych chryzantem o tablicę z różowego marmuru, na której połyskiwały napisy: Ksawery Kruszyński 1910-1995, Zenobia Kruszyńska née Malewicz 1920-2011. *Non omnis moriar*.

Żałobnicy, szepcząc między sobą, powoli odchodzili od grobu.

– Przedstawiam pani mojego syna Rafała – powiedział Adam Malewicz. – Proszę wsiąść z nami do samochodu.

– Rafał, przywitaj się z kuzynką – powiedział wujek Franciszek. – Nareszcie się poznać...

– Laura – rzekłam, wyciągając rękę do Rafała, chłopaka mniej więcej w moim wieku, nawet dość przystojnego, ale jakiegoś zarośniętego, rozłatanego, niespokojnie łypiącego na boki niebrzydkimi, ciemnozielonymi oczami. – Miło mi cię poznać.

– Mnie też – odparł zdenerwowanym głosem. – Jedźmy już. Ja prowadzę.

– Wiesz, że ci nie wolno – powiedział Adam, odbierając synowi kluczyki.

Wujek Franciszek milczał. Rafał nie oponował.

Deszcz rozpadał się na dobre, a coraz silniejszy wiatr porywał z alei zeschłe liście i rzucał je na mokre nagrobki. Obłoki pędziły po niebie, jakby raz na zawsze chciały opuścić ziemski padół.

Fantazyjna, kuta w żelazie brama była otwarta szeroko, na ulicy przylegającej do cmentarza stał rząd samochodów. Wsiedliśmy do srebrzystego peugeota i pojechaliśmy do willi Aurelii Kruszyńskiej.

2

Kostrzyn nad Odrą to dziwne miasto. Puste przestrzenie, ze śladami ruin pokrytymi kępami chwastów, przeplatają się ze skupiskami bloków z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Nagle w jakimś zdziczałym parku otwiera się perspektywa na drogę, prowadzącą donikąd i przecinającą ją tory tramwajowe. Tu i ówdzie widać jeszcze przerośnięte trawą schodki, wiodące do dawnego domu i zrujnowaną posadzkę westybulu.

To wszystko ślady działań wojennych, jakie miały miejsce w lutym i marcu 1945 roku. Niemcy ewakuowali ponad 20 tysięcy ludności cywilnej, zamieniając miasto w twierdzę Küstrin. Kostrzyn, zniszczony nieomal w 100 procentach, nazwano „polską Hiroszimą”.

Oblężenie miasta przez wojska radzieckie nie trwałoby tak długo, gdyby nie zapasy trzech browarów. Po spożyciu odpowiedniej ilości piwa, wojska atakujące zostały wypierane z miasta przez hitlerowskich obrońców, by wytrzeźwiawszy, przystępować do kolejnej ofensywy. Wreszcie, po wysadzeniu browarów, miasto zostało zdobyte.

Tę opowieść zasłyszana od Jana Stando, zmarłego w 1980 roku męża ciotki Aurelii, przekazała mi moja matka. Po wojnie Aurelia bez środków do życia wyszła za mąż w 1946 roku za działacza partyjnego, który został „rzucony” do Kostrzyna.

Zajmują tam jedną z niewielu ocalałych willi, pozostawioną wraz z wyposażeniem przez któregoś z browarników. Jan Stando pnie się po szczeblach kariery,

ciągnąc za sobą ciotkę, która za kilka lat zostanie dyrektorką nowo otwartego liceum. Rodzi im się dwoje dzieci: Henryk i Sylwia. To zapewne Sylwia jest matką tej wyglądającej jak skaranie boskie Małgorzaty, która zaprosiła nas na obiad.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Adam, zatrzymując samochód.

Dom wyglądał imponująco. Marmurowe schody wejściowe, nad którymi królował półokrągły taras, olbrzymie parterowe okna z wykuszami i stromy dach przebity półokrągłymi facjatami drugiego piętra.

Wszystko to przywodziło mi na myśl okazałą fabrykancką willę Anstadta, którą miałam okazję podziwiać w Łodzi. Nawiasem mówiąc, Anstadt był przed wojną właścicielem potężnego browaru. Widocznie wszyscy europejscy browarnicy mieli kiedyś ten sam gust, pomyślałam, wysiadając z samochodu.

W owalnym holu panował nieprzyjemny, wilgotny chłód. Długi, słabo oświetlony korytarz zakończony schodami przedzielał cały parter na dwie części. Zdjęłam kurtkę i aż dreszcz mnie przeszył. Wujek Franciszek otworzył drzwi do jakiegoś pokoju i powiedział:

- Zaczekamy tutaj na obiad. Mam nadzieję, że ktoś napalił w kominku.

Niestety, w kominku nikt nie napalił. Rafał zaszył się w kącie, nie zdejmując krótkiego, wełnianego płaszcza. Wyjął telefon komórkowy i bawił się jakąś grą. Adam poczęstował mnie papierosem, ale odmówiłam. Pstryknął zapalniczką i zaciągnął się głęboko.

Jesienne powietrze oplecione bladoniebieskim dymem spływało z długich pluszowych zasłon na kryształowe bibeloty wystawione na bufecie ciężkiego, orzechowego kredensu, po czym owijało się wokół mosiężnych zawiasów,

by końcu utknąć w wydeptanym różowogranatowym dywanie, tnąc zimnem po nogach.

- Dzień dobry państwu - powiedziała, stając w drzwiach, niemłoda już, drobnej postury, szczupła kobieta.

Rudawe, lekko kręcone włosy miała zwinięte w ciasny węzeł, a czarny, trzeba przyznać, doskonale skrojony kostium, podkreślał bladość jej cery. Wąskie wargi, ledwie tknięte odrobiną szminki, zaciskała z taką siłą, że, zdawać by się mogło, ostatkiem sił próbuje powstrzymać to, co ciśnie jej się na usta.

- Moja droga - rzekł wujek Franciszek - pozwól sobie przedstawić naszą młodą kuzynkę z Olsztyna, Laurę Sawicką. Lauro, to jest doktor Ewelina Hubertus-Stando.

- Bardzo mi miło - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Mnie również - rzekłam ściskając jej żyłastą, silną dłoń.
- Przepraszam, nie jestem bardzo zorientowana w rodzinnych parantelach, ale nazwisko Hubertus już obito mi się o uszy.

- Notariusz Walerian Hubertus jest moim ojcem - oznajmiła doktor Ewelina z nieukrywaną wyższością.

- Ewelina jest żoną Henryka Stando, syna ciotki Aurelii. Mieszka z mężem i synem w tym domu - dorzucił wujek.

- Ale już niedługo - prychnęła pani doktor, podchodząc do kominka. Elektryczną zapalarką rozpałała złożone bierwiona. - Na Boże Narodzenie przeprowadzimy się do naszej willi. Jest na ukończeniu...

Pomarańczowy ogień opływał polana złocistego drewna. Nareszcie zrobiło się trochę cieplej.

- Proszę mi wybaczyć, może to nietakt z mojej strony - zauważyłam, wyciągając zziębnięte dłonie w kierunku kominka - ale nie widziałam pani na pogrzebie...

- Nie byłam na nim - odparła sucho. - Ktoś musiał dopilnować obiadu.

- Zdaje się, że Małgorzata wczoraj wszystko przygotowała – rzekł Adam – nawet jej trochę pomagałem...

Ewelina popatrzyła na niego z nieukrywaną odrazą.

- Małgorzata nie potrafi nawet...

- Proszę państwa do stołu – powiedziała Małgorzata, stając w otwartych drzwiach.

- Chciałabym umyć ręce – szepnęłam, przechodząc obok niej.

- Korytarzem do końca – odrzekła cicho – ostatnie drzwi na prawo.

Łazienka była obszerna i staroświecka. Ogromna wanna na lwich łapach, srebrzyste krany opatrzone emaliowanymi napisami: *warm* i *kalt*, pociemniała rura pieca kąpielowego, ściany pokryte spękanymi, oliwkowozielonymi kaflami i podłużne okno z matowymi szybami ciętymi w pionowe prostokąty, przez które sączyło się szare światło wczesnego popołudnia...

Z boku, we wgłębieniu łazienki wyodrębniono dwie kabiny przesłonięte drewnianymi drzwiami, opatrzonymi metalowymi, grawerowanymi tabliczkami: *Damen* i *Herren*.

Nacisnęłam klamkę drzwi z napisem *Damen* – zajęte. Na szczęście miejsce za drzwiami z napisem *Herren* było wolne. Z kabiny obok dochodził cichy płacz.

Ktoś łkał, nie mogąc się opanować, coraz głośniej, coraz bardziej rozpaczliwie, by wreszcie wybuchnąć z trudem tłumionym, głośnym szlochem.

Pociągnęłam za wiszący na łańcuszku fajansowy uchwyt, głośno opróżniając tkwiący pod sufitem żeliwny rezerwuar z napisem „Corona”.

Płacz nie ustawał.

- Proszę pani – powiedziałam głośno – jeżeli mogę w czymś pomóc?... Bardzo proszę, niech pani nie płacze...

Drzwi uchyliły się.

- Kim pani jest? - spytał zapłakany głos. - Niech mi pani da spokój.

- Nazywam się Laura Sawicka - odparłam. - Przyjechałam z Olsztyna na pogrzeb ciotki Zenobii. To moja powinowata...

Drzwi otworzyły się szerzej.

- Poza tym pani Małgorzata prosiła na obiad - dodałam.

Płacz nieco przycichł. Z kabiny wyszła niemłoda już kobieta o opuchniętej, szerokiej twarzy. Podeszła do umywalki i pomoczywszy chusteczkę zimną wodą, przecierała nią zapłakane oczy, popatrując w prostokątne lustro poznaczone lizajami chorującego srebra.

Mogła mieć jakieś 60 lat. Jedynie jej ciemne, gęste, naturalnie kręjące się włosy stanowiły ostatni ślad minionej urody. Zbyt tęga sylwetka ukryta pod rozwleczonym ciemnym swetrem, zbyt obcisła ciemnoszara spódnica, stare, rozdeptane kozaczki...

- Przepraszam panią - powiedziała, wyjmując z czarnej, niemodnej torebki tusz do rzęs i plastikową puderniczkę - ale czasami... człowiek już nie może znieść tego wszystkiego...

- Widziałyśmy się na cmentarzu - rzekłam - stała pani obok pani Małgorzaty.

- To moja córka - odparła. - Mieszka tutaj, u babki, bo... nie umie sobie dać rady w życiu. Boleję nad jej losem... Ludzie są okrutni.

- Przepraszam, że spytam: pani jest... córką cioci Aurelii?

Skinęła głową, malując rzęsy i poprawiając ołówkiem brwi.

- Sylwia Grabowska. Moja córka, Małgorzata... jest nieszczęśliwa. Nie cierpią jej w tym domu, a ona... nie umie się odszczeknąć. Może dlatego, że straciła ojca, kiedy była jeszcze malutka. Biedne dziecko!